

## Zdzisław Najder o Conradzie: Pisarz-Rodak

Konrad Korzeniowski, przyszły angielski pisarz Joseph Conrad, wynurzył się jakby z samego macecznika naszej historii, naszej kultury narodowej – mówił prof. Zdzisław Najder z okazji 150-lecia urodzin pisarza. Jego wystąpienie przypominamy za portalem Culture.pl

Ojciec Konrada Korzeniowskiego tak witał nowonarodzonego syna w dniu jego chrztu:

*Dziecię-synu, powiedz sobie:  
żeś bez ziemi, bez miłości,  
bez Ojczyzny, bez ludzkości,  
póki Polska-Matka w grobie.*

Apollo Korzeniowski pozostawił po sobie dziedzictwo nie tylko słów, ale i czynów. Był literatem, ale przede wszystkim wybitnym działaczem niepodległościowym, inicjatorem powstańczego Rządu Narodowego 1863 roku. Syn Konrad wspominał wiele lat później, że jego świadome życie zaczęło się na dziedzińcu X pawilonu warszawskiej Cytadeli. Cella, gdzie więziony był Apollo, sąsiaduje z inną, z której dwa lata potem odszedł na szubienicę Romuald Traugutt i w której o pokolenie później zamknięty był Józef Piłsudski.

Konrad Korzeniowski, przyszły angielski pisarz Joseph Conrad, wynurzył się więc jakby z samego matecznika naszej historii, naszej kultury narodowej. Miał niespełna siedemnaście lat, kiedy opuszczał kraj zamieszkały przez Polaków. Nie miał zamiaru emigrować na zawsze – tak się jednak okazało.

Jaki ekwipunek umysłowy i uczuciowy wyniósł z ojczyzny? Jaką wiedzę o świecie, jaką pamięć przeżyć emocjonalnych? Myślę, że przede wszystkim głębokie doświadczenie tragizmu ludzkiego życia zbiorowego i jednostkowego. Miał sześć lat, kiedy na jego współczesnych zwał się dramat Powstania Styczniowego. Pochłonął życie kilku członków najbliższej rodziny. Odwaga i żarliwość, dążenia do niepodległości państwa i do sprawiedliwości społecznej w narodzie, bezinteresowność i poświęcenie setek tysięcy ludzi gotowych do ofiary – okazały się daremne, przyniosły pokonany śmierć, wygnanie, ubóstwo i poniżenie. Na tragedię zbiorowości składały się tragedie jednostek, najbardziej dotkliwe i uderzające w losach najszlachetniejszych. To pozostawiło ranę, która się u Konrada Korzeniowskiego nigdy nie zabiłiła. I kiedy najbogatsza duchowo bohaterka Josepha Conrada, pani Gould w powieści *Nostromo*, myśli, że „życie, aby było szerokie i pełne, musi zawierać w każdej przemijającej chwili troskę o przeszłość i przyszłość. Nasza codzienna praca winna być wykonywana ku chwale zmarłych i dla dobra tych, co przyjdą po nas” – polski czytelnik zauważy, że wypowiadająca tę myśl osoba nosi imię Emilia – imię ciotki Konrada i najbliższej przyjaciółki jego matki. Wiemy o niej niewiele ponadto, że w Boże Narodzenie 1863 została aresztowana za kolportaż podziemnej prasy i kontakty z Rządem Narodowym.

W swoim polskim bagażu duchowym Joseph Conrad znajdował doświadczenie brutalnej przemocy i braku wolności, przeżyte podczas zesłania; i więcej: świadomość poniżenia i znieprawienia, jakie niesie ze sobą niewola u obcych. Mieściło się w tym bagażu również przeświadczenie o wielkiej doniosłości więzi zbiorowych. To przeświadczenie dodatkowo zaostrzało poczucie osamotnienia, które miało go nękać do końca życia.

*W polskim bagażu duchowym  
Joseph Conrad znajdował  
doświadczenie brutalnej  
przemocy i braku wolności,  
przeżyte podczas zesłania.  
Więcej: świadomość  
poniżenia i znieprawienia,  
jakie niesie ze sobą niewola u  
obcych*

Z takim ekwipunkiem wyruszył w szeroki świat. Poznał rozmaite kraje i cywilizacje, także odległe od europejskich. Wyrobił w sobie przekonanie o tym, że społeczności ludzkie bardzo się różnią, ale ludzie są

w swoim człowieczeństwie równi. W dobie największego rozrostu kolonializmu i teorii o wyższości białej rasy – ten posiadacz paszportu najpotężniejszego mocarstwa świata okazał się, w *Jądrze ciemności*, najsurowszym krytykiem roli białych kolonialistów w czarnej Afryce. W innym arcydziele, wielkiej powieści *Nostromo*, dał Conrad obraz nieuchronnego, niezbędnego, ale i niszczącego rodzime kultury działania amerykańskiego imperializmu gospodarczego w krajach Ameryki Łacińskiej.

Zanim został pisarzem, był przez blisko dwadzieścia lat zawodowym marynarzem. Służył głównie na żaglowcach. Była to praca cięższa, bardziej niebezpieczna a gorzej płatna, niż na parowcach, które ostatecznie wyparły żaglowce właśnie w latach Korzeniowskiego. Okres służby morskiej nie okazał się dla niego pasmem ciekawych przygód i sukcesów zawodowych. Warunki bytowania załogi na ówczesnych statkach były bardzo prymitywne, a większość wśród marynarzy stanowili ludzie bardzo prości, szybko przepijający w portach nędzne zarobki. Korzeniowskiemu wuj-opiekun Tadeusz Bobrowski wypłacał sowite zapomogi, ale to okoliczności morskiej egzystencji nie zmieniało. Miał też kłopoty ze zdawaniem egzaminów oficerskich, a później ze znajdowaniem pracy na odpowiednim stanowisku. Piął się po szczeblach zawodowej kariery, dochodząc do stopnia kapitana - ale raz tylko udało mu się dowodzić statkiem.

Piękny mit załogi jako spoistego, solidarnego zespołu zderzał się nie raz z koniecznością narzucenia przez dowodzących twardej dyscypliny. Praca zwykłych marynarzy to był znój przerywany nudą. Praca oficerów – okresy wielkiego napięcia, związanego z ryzykiem i odpowiedzialnością, przerywane samotnymi godzinami w kajutach. Na przeżywanie czystego uroku, jaki wytwarzają bezkres wody i morza, szum prutych przez statek fal i świst wiatru w niebotycznych kolumnach żagli, zostawało niewiele czasu.

Zdobył znaczne doświadczenie. Najcenniejsza bodaj była świadomość wielokrotnego, rutynowego niemal ocierania się o śmierć, nasuwająca pytanie o sens życia, ucząca powagi moralnej. W młodości lekkoduch i utracjusz, nabrał szacunku dla pracy i ludzi pracy, także fizycznej; ale

nauczony, że wysokość zarobków jest nieproporcjonalna ani do wysiłku, ani do skali zagrożenia - nie zmienił dość pogardliwego stosunku do pieniądza.

Podczas swoich „morskich” lat nauczył się angielskiego. Jako czytelnik poznał ten język świetnie; mówił biegle, ale zawsze z bardzo silnym obcym akcentem. W wieku 29 lat, uwolnił się od poddaństwa rosyjskiego i dostał paszport brytyjski; żył potem wśród Anglików, ale zawsze trochę na uboczu.

Lata osiemdziesiąte, kiedy Konrad Korzeniowski osiągnął pełną dojrzałość, były też dla niego okresem tracenia wiary w odzyskanie przez Polskę niepodległości. W roku 1887 pisał do osiadłego w Walii Spirydona Kliszczewskiego: *„Przeszliśmy już bramę ze słowami 'lasciate ogni speranza', wypisanymi ogniem i krwią a teraz brama zamknięta jest dla światła nadziei i nic nas już nie czeka prócz ciemności zapomnienia”*.

Pamięć o Polsce przybrała postać wierności dumnej, ale pozbawionej nadziei. Myślał i pisał o niej jako o kraju, który *„żąda, by kochać go bardziej, niż jakikolwiek kraj był kochany, żalobną miłością i uczuciem płomiennym, niewygaszalnym, beznadziejnym, jakie tylko żywy, oddychający i ciepły ideał może w naszych piersiach wzniecić - na dumę naszą, na umęczenie, na tryumf nasz i zagładę”*. (Książę Roman)

Zanim zaczął w swoich utworach przedstawiać świat przełomu XIX i XX wieku mnóstwo przeczytał – był człowiekiem zdumiewająco wykształconym, choć nawet gimnazjum nie ukończył – i uczył się pilnie

*Jak w tragicznym, szarpanym  
sprzecznościami świecie  
ocalać ludzką godność?  
Conrad, szukając odpowiedzi,  
nawiązywał do tradycji etosu  
rycerskiego*

literackiego  
rzemiosła. W  
młodości nasycony  
polskimi poetami  
romantycznymi –  
później terminował u  
wielkich realistów  
francuskich. Ale nie  
tylko: poznawał z  
bliska i przez książki

różne kultury europejskie. Traktował dorobek całego naszego kontynentu jako wielki wspólny skarbiec, doceniając i twórczo wykorzystując jego różnorodność. Na przykład ten sam Joseph Conrad, który w roku 1905 ostrzegał przed zagrożeniem pruską potęgą gospodarczą i wojskową – dał w *Lordzie Jimie* motto z niemieckiego poety Novalisa, a jedną z kluczowych myśli wyraził słowami Goethego, cytowanymi przez bohatera powieści, Bawarczyka Steina. W tej samej powieści inny Europejczyk, francuski porucznik kanonierki, należy do najbardziej pamiętnych postaci książek Conrada. To tylko pierwsze z brzegu przykłady. W nadal aktualnej powieści *W oczach Zachodu* pokazał blisko sto lat temu kontrast między sytą, uładowaną demokracją szwajcarską, tym szczytowym wytworem zachodniej cywilizacji politycznej – a Rosją, nawykłą do samodzierżawia i bezprawia, rozdieraną między przemocą autokratycznej władzy a przemocą krwawego, anarchizującego buntu.

Można o Conradzie powiedzieć, że był wielkim pisarzem angielskim pochodzenia kontynentalnego.

Jak w tragicznym, szarpanym sprzecznościami świecie ocalać ludzką godność? Szukając odpowiedzi, nawiązywał Conrad w swoich powieściach do tradycji etosu rycerskiego. *Lord Jim*, najbardziej chyba polska z ducha powieść Conrada, mówi o honorze utraconym i odzyskanym. Jej tytułowy bohater przebywa ten sam szlak moralny, co przed nim Jacek Soplica czy Andrzej Kmicic. A przekonanie o potrzebie wierności sprawom nawet zda się beznadziejnym, uczyniło Conrada kultowym pisarzem pokolenia akowskiego w latach II wojny światowej.

Zanurzony w tradycji, dość obojętny na współczesne literackie mody, Joseph Conrad był zarazem w swojej prozie wielkim i śmiało eksperymentującym nowatorem. Na przykład *Tajny agent*, ironiczno-makabryczna powieść o międzynarodowym terroryzmie, pozostaje po stu latach zarazem prorocza i modelowa w opisie przeplatania się prowokacji politycznej z politycznym buntem, świata przestępców ze światem policji.

Wszyscy czytelnicy Conrada znają osobliwości jego prozy. Typowe są – jak w *Jądrze ciemności* czy *Lordzie Jimie* – opowiadania umieszczone w ramach opowieści. Nie bezosobowy autor, ale konkretna postać przekazuje nam swoją wiedzę o innych współbohaterach utworu, relacjonuje to, czego się dowiedziała o wydarzeniach, powtarza to, co od innych zasłyszała. Opowieści nie toczą się chronologicznie; przeciwnie, wchodzimy w środek akcji, potem cofamy, potem znowu przeskakujemy dalej. Fabułę poznajemy więc z rozmaitych perspektyw zarówno osobowych, jak czasowych. Wygląda to na utrudnienie i nie jeden czytelnik narzeka, zrażony koniecznością starannego wczytywania się w tekst. Ale przecież w taki właśnie sposób w realnym życiu poznajemy świat i ludzi. Rzadko dowiadujemy się o tym, co

zaszło, od początku do końca i z tej samej perspektywy. I jak wiemy, niebezpieczne jest poleganie na jednym źródle informacji.

Conrad chce ze swoich czytelników zrobić współ-uczestników, zmusić do czynnej lektury, do wspólnego odtwarzania wydarzeń i wspólnego poszukiwania ich sensu. Zwracając się do czytelnika pisarz wynurza się z własnej izolacji. Wciągnięty do współdziałania czytelnik też przestaje być samotny. Obaj stają się partnerami w procesie, który Conrad nazwał w słynnym zdaniu „*oddawaniem najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu*”.

Wyobcowanie było jego losem, odkąd wyjechał z Żytomierza do Warszawy jako niespełna pięciolatek. Nigdy już nie mieszkał wśród ludzi, których mógłby uważać za swojaków. Kiedy u schyłku życia pisał *Korsarza* uświadamiał sobie, że jedynym miejscem na świecie, gdzie mógłby zmieszać się z tłumem nie będąc natychmiast rozpoznany jako cudzoziemiec, była południowa Francja.

*Wszystkie strategie pisarskie  
Conrada nastawione były na  
jeden cel główny: tworzenie  
przez literaturę ludzkiej  
wspólnoty*

Conrad był pisarzem wielokształtnym: ozdobna retoryka wczesnych powieści malajskich jest bardzo odmienna, niż sucha ironia *Tajnego agenta*;

wielka panorama społeczno-polityczna *Nostroma* różni się ogromnie od *Lorda Jima*, gdzie uwaga skupia się na tytułowym bohaterze; realizm *Tajfunu* kontrastuje z symbolizmem *Zwycięstwa*. Ale wszystkie strategie pisarskie Conrada nastawione były na jeden cel główny:

tworzenie przez literaturę ludzkiej wspólnoty. W programowej „Przedmowie” do *Murzyna z załogi „Narcyza”* tak określił cel artysty słowa:

*„zwraca się do subtelnego ale niezwykłego przekonania o solidarności, która zespala w jedno samotność nieprzeliczonych serc ludzkich, do wspólnoty w marzeniach, radościach, troskach, dążeniach, złudzeniach, nadziei, lęku – która wiąże człowieka z człowiekiem, która łączy całą ludzkość – umarłych z żywymi a żywych z jeszcze nie narodzonymi”.*

To przekonanie o możliwości i potrzebie ludzkiej solidarności jest dla Conrada szczególnie znamienne. Choć w swoich książkach podejmował problematykę ambitną i trudną, chociaż śmiało kształtował nowe formy literackie – nigdy nie chciał być pisarzem dla wybranych, dla elity; ze świadomym wysiłkiem chciał sięgać do wszystkich kręgów czytelniczych. Chciał jako twórca być zarazem „jednym z nas”. Swoją samotność przełamywał dla nas, jego czytelników. Czy wiedział, że jego własny ojciec też uważał uprawianie literatury za służbę zbiorowości? Nie wiemy. Wiemy jednak, że w okresie popularności hasła „sztuka dla sztuki” głosił inny pogląd: że stawianie literaturze najwyższych wymagań artystycznych nie jest sprzeczne z pełnieniem przez nią roli zbliżania ludzi do siebie, łączenia ich w poczuciu wspólnoty.

Joseph Conrad-Korzeniowski zmarł w Canterbury, w południowo-wschodniej Anglii, 3 sierpnia 1924 roku. Pogrzeb nie był tłumny; do grobu odprowadziło trumnę kilkadziesiąt osób. Jedynym reprezentantem jakiegokolwiek oficjalnej instytucji był Edward Raczyński, przedstawiciel Premiera odrodzonej Rzeczypospolitej

Polskiej. Człowiek rzadkiej prawości i zasług, który sześćdziesiąt lat później piastował urząd Prezydenta Polski na uchodźstwie. Mam poczucie, że w osobach Apollona Korzeniowskiego i Edwarda Raczyńskiego kultura polska pięknie i odpowiednio zarówno witała jak i żegnała wielkiego pisarza angielskiego. Złożyła mu hołd godny przeszłych i przyszłych pokoleń.

*Prof. Zdzisław Najder*

Wykład wygłoszony w czasie uroczystej inauguracji Roku Josepha Conrada-Korzeniowskiego 28 lutego 2007 r. na Zamku Królewskim w Warszawie. Publikujemy go za uprzejmą zgodą portalu Culture.pl